



JAMES

**PATTERSON**

MAXINE PAETRO

DZIEWIĄTY WYROK

# 1

Stojąc na dachu wiaty garażowej, Sarah Wells wsunęła dłoń w rękawicze przez otwór, który wycięła w szybie. W uszach czuła szybkie pulsowanie krwi, gdy przekręciwszy od środka klamkę, podnosiła skrzydło angielskiego okna i bezszelestnie wślizgiwała się do ciemnego pokoju. Kiedy znalazła się w środku, przygłęła do ściany i zaczęła nasłuchiwać.

Z parteru dochodził gwar rozmów, słyszała też szcęk sztućców o talerze. Dobry moment, pomyślała. Wprost idealny.

Lecz utrafiony moment a realizacja planu to dwie różne sprawy.

Zapaliła latarkę czołową i podążając za jej przesuwającym się po półokręgu światłem, wędrowała wzrokiem po sypialni. Z lewej strony stała toaletka, a na niej mnóstwo różności. Muszę uważać na ten stolik i na liczne dywaniki na śliskim parkiecie, zanotowała w pamięci.

Zwinnym krokiem wysportowanej młodej kobiety przemknęła przez pokój, zamknęła drzwi na korytarz, po czym skierowała się do garderoby, skąd dolatywał lekki zapach perfum. Uchyliwszy drzwi, omiotła światłem wieszaki. Rozsunęła długie wieczorowe suknie i w ścianie bez trudu znalazła sejf.

To było łatwe do przewidzenia. Bo jeśli Casey Dowling nie różniła się od innych kobiet z elity, to do kolacji ubierała się

wieczorowo i zakładała biżuterię. I nie zamykała sejfów na klucz, żeby móc później włożyć do niego klejnoty bez wstukiwania kombinacji cyfr. Sarah pociągnęła lekko za klamkę sejfów — ciężkie drzwiczki odskoczyły.

Udało się.

Jednak musiała się spieszyć. Trzy minuty, nie więcej.

Czołówka oświetlała wnętrze sejfów, więc Sarah miała obie ręce wolne. Grzebała wśród satynowych torebek i jedwabnych pudełek, aż wreszcie z tyłu za nimi znalazła pokrytą brokatem szkatułę wielkości małego bochenka chleba. Gdy otworzyła zameczek i uniosła wieczko, błysnęły skarby.

Wyrwał jej się cichy okrzyk.

Od dwóch miesięcy czytała artykuły o Casey Dowling i obejrzała dziesiątki jej zdjęć z rozmaitych spotkań towarzyskich, na których ta dama pokazywała się obwieszona klejnotami. Jednak takiego bogactwa brylantów i cennych kamieni oraz mieniących się naszyjników z barokowych pereł Sarah się nie spodziewała.

Czysty obłęd, ile tego znajdowało się w posiadaniu Casey Dowling.

No, już nie na długo.

Sarah wygarnęła ze szkatuły bransoletki, kolczyki i pierścienie do dwóch płóciennych sakiewek, których paski krzyżowały się na jej piersiach. Uwagę jej przykuł pierścienek znajdujący się w osobnym skórzanym pudełeczku, pozwoliła sobie więc na chwilę przerwy, by kontemplować jego magiczny urok — ocknęła się, gdy w pokoju, parę metrów od miejsca, gdzie stała w garderobie, rozbłysły światła.

Zgasiła latarkę i przykucnęła, a tętno jej się rozszalało, gdy usłyszała tubalny głos Marcusa Dowlinga, supergwiazdy teatru i srebrnego ekranu, który wchodząc do sypialni, kontynuował kłótnię z żoną.

Za osłoną sukien i toreb na ubrania mająca metr siedemdziesiąt wzrostu Sarah zwinęła się w jak najmniejszą kulkę.

Boże, pomyślała, jak mogłam tak zgłupieć.

Gdy z zapamiętaniem wpatrywała się w klejnoty, przyjęcie u Dowlingów dobiegło końca i teraz zostanie przyłapana na kradzieży z włamaniem, za co groziło więzienie. Ona... nauczycielka szkoły średniej. Będzie skandal, a na nim się przecież nie skończy.

Włosy pod czapką z dzianiny zrobiły jej się mokre od potu, który spływał jej również spod pach, wsiąkając w czarny pulower. Za chwilę Dowlingowie włączą światło w garderobie i znajdą ją skuloną pod ścianą — złodziejkę, która przyszła nocą.

## 2

Casey Dowling usiłowała przyprzeć męża do muru, ale ten nie miał zamiaru przyznać się do winy.

— O co to piekło, Casey? — odszczekiwał się. — Klnę się na Boga, że nie gapiłem się na cycki Sheili. Za każdym razem, gdy jesteśmy w jakimś towarzystwie, masz pretensje, że patrzę pożądliwie na kobiety, i prawdę mówiąc, kochanie, twoja paranoja mi się przejadła.

— Jaasne, Marcus. Ty pożerałbyś oczami inną kobietę? Nigdy w życiu. Taaak mi wstyd, że coś takiego w ogóle przyszło mi do głowy. — Śmiech Casey brzmiał perliście mimo ironii.

— Głupia krowa — mruknął Marcus pod nosem.

Sarah wyobraziła sobie zmienioną kłótnią przystojną twarz aktora z opadającym na czoło pasmem gęstych szpakowatych włosów. W wyobraźni widziała też Casey — jej wiotką sylwetkę i sięgającą do połowy pleców srebrzystą pelerynę platynowych włosów.

— No proszę, jakżeż mogłam cię tak urazić — świergotała Casey.

— Daj spokój, kochanie. Nie jestem w nastroju.

— Och! Przepraszam. Moja wina.

Sarah zrobiło się przykro, jakby kłótnia dotyczyła jej

personalnie.

— Hej, na litość boską, nie płacz. Chodź tutaj — powiedział Marcus.

Na kilka minut w pokoju zapadła cisza, a po niej Sarah usłyszała najpierw odgłos plaśnięcia, gdy dwa ciała zwały się na miękkie łożo, a potem jakieś szepty; nie mogła rozróżnić słów. Jeszcze później wezgłowie zaczęło stukać o ścianę, więc pomyślała: Boże drogi, oni to robią.

Przypomniały jej się sceny z dwóch jego filmów: w *Susan and James* grał z Jennifer Lowe, a w *Redboy* z Kimberly Kerry. Wyobraziła sobie teraz Casey w jego ramionach i oplatające go jej długie nogi. Stukanie stało się bardziej rytmiczne, jęki głośniejsze, rozległ się przeciągły krzyk Marcusa i wreszcie — szczęśliwie — skończyło się.

Któreś z nich skorzystało potem z łazienki i na koniec sypialnia pogrążyła się w ciemności.

Sarah odczekała cichutko za osłoną z sukien co najmniej dwadzieścia minut i dopiero kiedy nierówne oddechy dochodzące z sypialni przeszły w miarowe pochrapywania, otworzyła szerzej drzwi garderoby i podczołgała się do okna.

Już się widziała w domu... lecz przedwcześnie.

Gdy bowiem szybko i bezszelestnie wspinała się na parapet, zahaczyła nogą o bok toaletki i... wszystko poszło źle.

Stoliczek się zachwiał, przewrócił, ześlizgnęły się z niego zdjęcia w ramkach i buteleczki z perfumami i z brzękiem potoczyły po podłodze.

Jasna cholera!

Sarah zastygła na moment w bezruchu, a wyrwana ze snu Casey usiadła na łożku.

— Kto tam?! — krzyknęła.

Ogarnięta paniką Sarah w jednej sekundzie znalazła się za oknem. Przez chwilę wisiała nad ziemią, trzymając się kurczowo palcami krawędzi garażowego dachu, wreszcie zwolniła chwyt i spadła z wysokości trzech metrów.

Wylądowała na trawie, podniosła się z kucek, żadnego bólu.

Poderwała się do biegu w momencie, gdy nad jej głową rozbłysło światło z sypialni. Pędząc ile sił w nogach uliczkami ekskluzywnej dzielnicy Nob Hill, zerwała z głowy opaskę z latarką i wrzuciła ją do jednej z dwóch sakiewek.

Kilka minut później dotarła do swego starego saturna, którego zostawiła na parkingu przed drogerią. Wsiadła do auta, zablokowała drzwi, jakby to miało pomóc przezwyciężyć strach. Włączyła silnik, zwolniła ręczny hamulec i wciąż dysząc, ruszyła w kierunku domu, z trudem powstrzymując odruch wymiotny.

Dopiero gdy znalazła się na biegnącej prosto jak strzała Pine Street, ściągnęła z głowy czapkę, zsunęła z dłoni rękawiczki i grzbietem lewej ręki otarła pot z czoła. Cofnęła się myślą do momentu ucieczki z domu Dowlingów.

Niczego tam nie zostawiła: ani narzędzi, ani odcisków palców, ani śladów DNA. Niczego.

Na razie mogła czuć się bezpiecznie.

Szczerze mówiąc, nie wiedziała jednak, czy śmiać się, czy płakać.

### 3

Szeroko rozwarte oczy Casey patrzyły w ciemność.

Coś załomotało. Toaletka koło okna! Na twarzy poczuła podmuch wiatru. Okno jest otwarte. Tego okna nigdy nie otwierali.

Ktoś dostał się do domu.

Usiadła.

— Kto tam? — Podciągnęła kołdrę pod brodę. — Marc! Ktoś jest w pokoju.

— Przyśniło ci się. Połóż się i zaśnij — jęknął.

— Obudź się! Ktoś tu jest — syknęła.

Zaczęła manipulować przy lampie, zrzuciła na podłogę okulary, ale wymacała wyłącznik i zapaliła światło. To nie sen — stolik był przewrócony, a wszystko, co na nim stało, leżało teraz na podłodze, zasłony falowały na wietrze.

— Rusz się, Marc. Zrób coś!

Marcus Dowling, który codziennie ćwiczył, wciąż jeszcze potrafił wycisnąć sto kilo i umiał posługiwać się bronią. Kazał żonie zamilknąć, otworzył szufladkę nocnej szafki i wyciągnął skórzany futerał, w którym trzymał naładowaną czterdziestkęczwórkę. Chwycił rewolwer do ręki.

Casey sięgnęła do telefonu na szafce i drżącą ręką wystukiwała dziewięć-jeden-jeden. Pomyliła się, spróbowała ponownie.



— Kto tam?! — słyszała wrzask na wpół pijanego Marca.  
— Odsłoń twarz. — Nawet w takiej chwili mówił tekstem jak ze scenariusza.

Zajrzał do łazienki, wyjrzał na korytarz.

— Nikogo tu nie ma, Casey. Mówiłem ci.

Casey odłożyła słuchawkę, odrzuciła kołdrę i poszła do garderoby po szlafrok. Po chwili dobiegł stamtąd jej krzyk.

— Co tym razem, Casey?

Stała przed nim z pobladłą twarzą, naga.

— Mój Boże, Marc, zniknęła moja biżuteria. Sejf jest prawie pusty.

Po jego twarzy przemknął dziwny grymas, ale nie potrafiła go rozszyfrować. Jakby wpadł na jakiś pomysł, który go rozgorączkował. Czyżby się domyślał, kto ich okradł?

— Marc? O co chodzi? O czym myślisz?

— Ach, tak sobie pomyślałem, że nie możesz jej zabrać ze sobą.

— Co za bzdury pleciesz? Jak mam to rozumieć?

Dowling wyciągnął przed siebie prawą rękę i wycelował rewolwer w pieprzyk między piersiami żony. Pociągnął za spust. Huknęło.

— Tak masz to rozumieć — powiedział.

Casey Dowling otworzyła usta, wciągnęła powietrze i podczas wydechu spojrzała w dół na pienistą krew wypływającą z rany. Przycisnęła rękę do piersi.

— Pomóż mi — wykrztusiła, patrząc na męża.

Strzelił po raz drugi.

Ugięły się pod nią kolana i upadła.

# Rozdział 1

Peter Gordon nie spuszczał z oka młodej mamy — wyszedł za nią z Macy's i trzymał się z tyłu, gdy szła wzdłuż centrum handlowego Stonestown. Miała około trzydziestki, bujne kasztanowe włosy związane w koński ogon i upodobanie do czerwieni: rzucały się w oczy nie tylko czerwone szorty, ale również czerwone sportowe buty i czerwona torebka. Reklamówki z zakupami zawiesiła z obydwu stron dziecięcego wózka.

Szedł za nią, gdy przechodziła na pasach przez Winston Drive, i niemal deptał jej po piętach, gdy weszła na parking podziemny, więc słyszał, jak zagaduje do niemowlęcia, jakby mogło ją rozumieć, pyta dziecko, czy pamięta, gdzie mama zaparkowała auto i co też tata zrobi na obiad, i tym podobne — ten niekończący się szczebiot w dziecięcym języku był jak lont zapalony w ustach kobiety, a kończący się ładunkiem wybuchowym w mózgu Pete'a.

Musiał jednak na razie się skupić i pilnować upatrzonego celu. Z pochyloną głową i rękami w kieszeniach słuchał i obserwował. Kobieta otworzyła tylną klapę toyoty RAV4 i wrzuciła do bagażnika reklamówki. Stał w odległości zaledwie paru metrów, gdy brała dziecko na ręce, składała wózek i wsuwała go do bagażnika.

Wystartował do niej, kiedy zapinała dziecko w foteliku.

— Czy mogę prosić panią o pomoc?

Ściągnęła brwi. Obrzuciła go wzrokiem i na jej twarzy pojawiło się niechętnie pytanie: „Czego ty chcesz?”. Usiadła za kierownicą z kluczykami w ręku.

— Tak? — rzuciła.

Pete Gordon wiedział, że może budzić zaufanie — zdrowy, schludny, z jasnym spojrzeniem. Wyglądał jak typowy amerykański przystojniak, co uważał za swój atut, ale próżny nie był. W każdym razie nie bardziej niż owadożerna muchołówka amerykańska.

— Złapałem gumę — powiedział, wznosząc ręce. — Głupio się czuję, prosząc, ale czy mógłbym skorzystać z pani komórki, żeby zadzwonić po pomoc drogową? — Błysnął uśmiechem, ukazując dołeczki, na co wreszcie i ona się uśmiechnęła. — Bo jak idiota zapomniałem naładować swoją — usprawiedliwiał się.

Pogrzebała w torebce i po chwili podniosła głowę, trzymając w ręku telefon. Zniknął jej uśmiech, gdy zobaczyła wyraz twarzy Pete’a, już ani trochę przyميلny, tylko twardy i zdecydowany.

Jej wzrok ześlizgnął się na rewolwer w jego ręku — pomyślała, że coś się tu nie zgadza — i znowu spojrzała mu w twarz, lecz w czarnych oczach zobaczyła lodowaty chłód.

Cofnęła się gwałtownie, upuszczając między fotele kluczyki i komórkę. Próbowwała przeleźć do dziecka na tylne siedzenie.

— O Boże! — zawołała jeszcze. — Nie... nie rób tego... mam pieniądze...

Wystrzelił, kula świsnęła przez tłumik i trafiła kobietę w szyję. Ofiara odruchowo zacisnęła rękę na ranie, spomiędzy palców tryskała krew.

— Moje dziecko — wykrztusiła.

— Nie martw się. Nic nie poczuje. Przyrzekam — powiedział Pete Gordon.

Jeszcze raz strzelił do kobiety, tym razem celował w bok klatki piersiowej, potem otworzył tylne drzwi i spojrzał na

bachora, który przysypiał z buzią lepką od waty cukrowej. Sieć niebieskich żyłek na jego skroni przypominała mapę drogową.

## Rozdział 2

Z parkingowej rampy dobiegł szum sunącego w dół auta, zapiszczały na zakręcie opony. Gdy przejeżdżało koło Pete'a, odwrócił głowę. Był pewien, że nie został zauważony, zresztą wszystko zrobił perfekcyjnie. Zgodnie z zasadami sztuki.

W toycie leżała otwarta torebka kobiety. Trzymając rękę w kieszeni kurtki, co miało zastąpić rękawiczkę, Pete zaczął grzebać w torebkowym bałaganie w poszukiwaniu szminki.

Gdy ją znalazł, wysunął sztyft — był w kolorze jaskrawej czerwieni.

Przeczekał, póki nie zniknął mu z oczu cadillac escalade z dwiema rozgadanyimi babami, które jechały w górę rampy, rozglądając się za miejscem do zaparkowania. Ze szminką, którą trzymał między palcem wskazującym i kciukiem, zastanawiał się chwilę, co napisać na przedniej szybie.

Miał napisać „Dla Kenny'ego”, lecz zmienił zamiar. Zarechotał, bo przyszło mu do głowy, żeby namazać: „Pete tu był”.

Przywołał się do porządku.

Namalował trzy litery: KDP — grube, czerwone, wysokie na dziesięć centymetrów. Podkreślił je zamaszystą czerwoną linią. Szminkę zakręcił i wrzucił do kieszeni — stuknęła o rewolwer.

Zadowolony wycofał się z auta, zamknął drzwi, przetarł

klamkę flanelową podszewką baseballowej kurtki i ruszył do wind. Odsunął się na bok, gdy na parterze rozsunęły się drzwi windy, z której wytoczył się wózek inwalidzki, pchany przez starszego mężczyznę wiozącego żonę. Pete stał z pochyloną głową, by uniknąć kontaktu wzrokowego ze starszą parą, lecz ci nawet nań nie spojrzeli.

To dobrze, choć chciałby im coś powiedzieć.

Zrobiłem to dla Kenny'ego. Zgodnie z zasadami sztuki.

Wsiadł do windy i wjechał na trzeci poziom, gratulując sobie dobrego dnia, pierwszego takiego od roku. Jeszcze wiele było przed nim, ale wreszcie wystartował z wielkim planem.

Pewność, że się powiedzie, wprawiała go w stan podniecenia.

Motto: KDP. KDP. Zrozumiano?

## Rozdział 3

Pete Gordon zjechał spiralną rampą i mijając na poziomie parteru samochód z martwą kobietą, nawet nie nacisnął na pedał hamulca, pewien, że wokół tamtego auta nie ma krwi ani niczego, co mogłoby zdradzić, że to on tam działał.

Mimo że parking był zatłoczony, przewidywał, że upłyną godziny, zanim mama i jej bachor zostaną znalezieni na końcu rzędu samochodów na normalnie wyglądającym stanowisku.

Na luzie i nie spiesząc się, wyjechał z parkingu i dodał gazu dopiero na Winston Street, jadąc w kierunku Dziewiętnastej Alei. Zatrzymał się na czerwonym świetle i przebiegł myślą zdarzenie, dochodząc do wniosku, że poszło niezwykle gładko — nie zmarnował żadnego naboju, o niczym nie zapomniał — a gliniarze niechybnie dostaną szau.

Nie ma nic gorszego od zbrodni bez motywu, co, Kenny?

Gliniarze będą łamać sobie na tym zęby, to jasne, ale zanim to zrozumieją, on będzie już mieszkał w innym kraju, a zagadka tej zbrodni trafi do archiwum spraw niewyjaśnionych i żaden fiut z wydziału zabójstw nigdy jej nie rozwiąże.

Zdecydowawszy się na dłuższą drogę do domu, Pete pojechał Sloat Boulevard i dalej Portola Drive, przy której czekał, wraz z powracającymi z pracy w centrum, aż przejedzie pociąg Muni Metra, i wreszcie znalazł się na Clipper Street, która doprowadziła go do lichego apartamentowca w dzielnicy

Mission, gdzie mieszkał.

Zbliżała się pora obiadowa i jego własne bachory prawdopodobnie już nadymały policzki, żeby wszcząć alarm. Przed drzwiami mieszkania stanął z wcześniej wyciągniętym kluczem, przekręcił go w zamku i otworzył drzwi kopnięciem.

Już od progu poczuł smród mokrych pieluch. Mały śmierzdel, który stał w kojcu przewieszony przez poręcz, zaczął się drzeć, jak tylko go zobaczył.

— Tato! — zawołała Sherry. — Trzeba mu zmienić pieluchę.

— Tak, laluniu — rzekł. — A ty zamknij buzię — rzucił w stronę „cuchnącej bomby”. — Za chwilę się tobą zajmę. — Wyjął pilota z rąk córeczki i przełączył kanał z kreskówkami na wiadomości.

Giełda szła w dół. Podskoczyły ceny ropy. Obejrzał do końca wiadomości z ostatniej chwili. Ani słowa o znalezieniu dwóch ciał na wielopoziomowym parkingu przy centrum handlowym Stonestown.

— Jestem głodna — zgłosiła Sherry.

— Więc co ma być pierwsze? Obiad czy kupa?

— Najpierw kupa — odrzekła.

— Zgoda.

Pete Gordon wziął na ręce niemowlę, które cenil sobie nie bardziej niż worek cementu, zwłaszcza że nawet nie był pewien, czy gówniarz jest jego, a jeśli nawet tak było, wcale mu na nim nie zależało. Ułożył go na plecach na przewijaku i wykonał rutynowe czynności: chwyciwszy nóżki dzieciaka w kostkach, wytarł mu pupę i posypał ją pudrem, po założeniu pampersa wsadził bachora z powrotem do kojca.

— Frankfurterki i fasolka? — zapytał córkę.

— Moje ulubione — odpowiedziała Sherry, wkładając do ust swoją kitkę cienką jak mysi ogonek.

— Cuchnie od śmierdziucha jak po ataku gazowym — zarechotał Pete. — Módl się, żeby twoja mama się nie udusiła, gdy wróci.



Podgrzał w mikrofalówce mieszankę dla niemowlaka i otworzył puszkę frankfurterek z fasolką. Włączywszy podwieszany telewizor i kuchenkę, wrzucił zawartość puszki do garnka, a wszystko to powinien robić nie on, tylko ta suka, jego żonusia.

Poczuł swąd przypalonej fasolki w momencie, gdy przerwano program z wiadomościami z ostatniej chwili.

A jednak. Popatrzcie tylko, pomyślał Pete.

Jakaś debilka z telewizji ABC stała przed księgarnią Borders z mikrofonem w ręku. Za nią w tle widać było grupę wygłupiających się uczniów college'u.

— Mamy wiadomość o strzelaninie na parkingu przy centrum handlowym Stonestown — mówiła. — Nasze źródła informują o podwójnym makabrycznym zabójstwie, w które aż trudno uwierzyć. Będziemy państwa informować na bieżąco o przebiegu śledztwa w miarę ujawniania przez policję szczegółów.

## Rozdział 4

Yuki Castellano wyszła ze swojego boksu.

— Hej, cudowny chłopcze, jesteś gotowy czy spotkamy się na dole?! — zawołała.

— Idę, idę — odezwał się Gaines ze swojego stanowiska kilka boksów dalej. — Kto mówi, że nie zdążę?

— Jak wyglądam? — spytała go Yuki, kierując się w stronę windy, która miała ich zawieźć z piętra zajmowanego przez prokuratora okręgowego na salę sądową.

— Wyglądasz bojowo, jak Batwoman. Szyk multikulti. Oto prawdziwa miss USA.

— Zamknij się. — Zaśmiała się do swojego asystenta. — Bądź gotów mnie ratować, jeżeli, broń Boże, się zacukam.

— Nie zacukasz się. Wyślesz tego bysia do więzienia o zastrzonym rygorze.

— Tak myślisz?

— Jestem pewien. A ty nie?

— Mhm. Muszę tylko spowodować, żeby przysięgli też nabrali tej pewności.

Nicky stuknął w przycisk windy, a Yuki powróciła do swoich myśli. Za dwadzieścia minut miała wygłosić mowę końcową w sprawie z oskarżenia publicznego przeciwko Adamowi „Jo-Jo” Johnsonowi.

Od podjęcia pracy w biurze prokuratora okręgowego

prowadziła niejedną parszywą sprawę, którą prokurator okręgowy usiłował wygrać. Pracowała osiemnaście godzin na dobę, co jej szef Leonard „Rudy Pies” Parisi kwitował życzliwym „dzielna dziewczynka”, łatwo też zdobywała przychylność ławy przysięgłych, a wszystko to za każdym razem sprawiało, że liczyła na sukces.

I ostatecznie przegrywała.

Zaczynała słynąć z tego, że przegrywa, a to bolało, ponieważ z usposobienia była typem wojownika i zwycięzcy. I nienawidziła przegrywać. A przecież nigdy nie zakładała, że przegra. Tak było i tym razem.

Akt oskarżenia miał solidne podstawy. Układała go cierpliwie jak pasjansa. Ława przysięgłych miała przed sobą łatwe zadanie. Oskarżony był winny, na sto procent winny.

Nicky przytrzymał dla niej obite skórą drzwi i Yuki energicznym krokiem ruszyła środkiem wyłożonej dębową boazerią sali sądowej. Dostrzegła, że galeria zapełnia się publicznością, głównie dziennikarzami i studentami prawa. Podchodząc do ławki dla oskarżenia, zobaczyła, że Johnson i jego adwokat Jeff Asher są już na swoich miejscach.

Scena była gotowa.

Kiwnęła głową do swego przeciwnika i przyjrzała się oskarżonemu. Był schludnie uczesany i miał na sobie przyzwoity garnitur, ale siedział z tępym wyrazem twarzy, jaki może mieć tylko czub z mózgiem wypalonym narkotykami. Yuki miała nadzieję, że wkrótce będzie wyglądał jeszcze gorzej, gdy udowodni mu morderstwo pierwszego stopnia.

— Chyba jest odurzony gandzią — mruknął Nicky, wysuwając krzesło dla Yuki.

— Albo wierz, że ma adwokata mocarza — powiedziała Yuki głośno, by mógł to usłyszeć jej przeciwnik. — Bysio myśli sobie, że wyjdzie stąd na wolność, a tymczasem przejedzie się karetką do stanowego Pelican Bay.

Asher spojrział na nią z uśmiechem wyższości i mową ciała dał jej do zrozumienia, że zostanie starta na proch.

Rzucił wyzwanie.

Yuki nie stawała dotąd w szranki z Asherem, który zaledwie po roku pracy w charakterze publicznego obrońcy zdobył przydomek „bomby” — sławę adwokata wysadzającego w powietrze akt oskarżenia i wyciągającego klienta z opresji. Wzbudzał uznanie, bo miał wszystko, co trzeba: charyzmę, chłopięcą urodę, dyplom ukończenia studiów prawniczych na Harvardzie. A jego ojciec, wzięty pełnomocnik procesowy, wspierał go swym doświadczeniem.

Żaden z tych atutów nie miał dzisiaj znaczenia.

Dowody, świadkowie i przyznanie się podejrzanego do winy przemawiały na rzecz oskarżenia. Yuki miała go w ręku.